

OD TŁUMACZA

Każdy potencjalny czytelnik, sięgając po książkę, zadaje sobie na ogół pytanie, dlaczego właśnie tę powinien wybrać. Wcześniej podobne pytanie zadaje sobie wydawca oraz (w przypadku przekładu) tłumacz. Postaram się, jako autor przekładu Pereł, na nie odpowiedzieć.

Inicjatywa dokonania przekładu i wydania książki może wyjść ze strony tłumacza lub wydawnictwa. W przypadku niniejszego zbioru opowiadań było inaczej. Zarówno wydawczyni (Natalia Moskal), jak i ja, autor przekładu, zupełnie niezależnie uznaliśmy za celowe udostępnienie polskiemu czytelnikowi Pereł Izraela Joszuy Singera. Dla Wydawnictwa Fame Art to kontynuowanie idei, która przyświecała mi, gdy publikowało *Rodowód i Taniec demonów* Ester Singer-Kreitman¹ oraz zbiór opowiadań *Naobcej ziemi* I.J. Singera². Idea ta to udostępnianie polskiemu czytelnikowi wartościowych dzieł pisarzy, którzy nie pisali wprawdzie po polsku, ale wyrastali w kręgu wieloetnicznej, wielojęzycznej, a więc i wielokulturowej Polski. Pisarzy, których spuścizna może, a nawet powinna być dostrzegana przede wszystkim w Polsce, gdyż jak napisała wydawczyni w przedmowie do *Rodowodu*: „To przecież wszystko w Polsce się zaczęło”. Warto w tym miejscu dodać, że każda z wyżej wspomnianych książek, zanim została udostępniona czytelnikowi polskojęzycznemu, znalazła wydawców poza Polską – niektóre z dzieł obojga autorów przełożono na angielski, rosyjski, włoski, niemiecki, a nawet czeski.

Zapomnianych czy po prostu nieznanym polskiemu czytelnikowi autorów piszących w jidysz jest wielu. Mówiąc o pisarzach, których dotknął ten niesprawiedliwy los, wspomnieć należy przede wszystkim starsze rodzeństwo noblisty Izaaka Baszewisa Singera. Zarówno Ester, jak i Izrael Joszua zostali przyćmieni późniejszą popularnością młodszego brata. W przypadku przedwcześnie zmarłego autora Pereł mamy wręcz do czynienia z odwróceniem ról. To Izrael Joszua należał do czołowych twórców literatury jidysz w okresie międzywojennym, wprowadzał w życie (nie tylko literackie) młodszego brata, był dla niego wzorem i mentorem. Można wręcz powiedzieć, i nie będzie to chyba przesadą, że bez Izraela Joszuy nie byłoby noblisty Izaaka Baszewisa.

Drugą sprawą wymagającą być może wyjaśnienia jest to, dlaczego nasz wybór padł akurat na Pereł. Ten wydany w 1922 r. w Warszawie tom był pierwszym zbiorem opowiadań I.J. Singera. Zawiera dziesięć opowiadań, które powstały w latach 1916–1922. Są to opowiadania o różnorodnej tematyce, ich akcja toczy się niemal wyłącznie na ziemiach polskich, choć część z nich powstało w okresie, kiedy I.J. Singer przebywał na terenach ogarniętej rewolucją i wojną domową Rosji i Ukrainy. Wyjątkiem jest powstały już po powrocie Singera do Warszawy *Ołów* nawiązujący do wydarzeń w Rosji. Podobnie jak w swych późniejszych opowiadaniach Singer wychodzi tu poza symboliczne getto żydowskie, interesują go po prostu ludzie, ich losy, dylematy, ich uwikłanie w otaczający świat. Są to przede wszystkim Polacy i Żydzi, ale ich pochodzenie i wyznawana religia okazują się zwykle sprawą drugorzędną. Czytelnik literatury jidysz często spodziewa się, że opozycja my–oni czy swoi–obcy, jeśli się pojawia, to z jednej strony dotyczy Żydów, a z drugiej gojów (nie-Żydów). U Singera wcale tak nie musi być. Pokazany w opowiadaniu *Piasek* konflikt jest konfliktem wewnątrz świata Żydów, w którym też są „swoi” i „obcy”. *Piasek* powstał sto lat temu, ale poruszony w nim problem jawić się może czytelnikowi jako współczesność przebrana w stroje sprzed wieku.

Jeśli pominąć niewątpliwą wartość literacką, najważniejszym argumentem przemawiającym za tym, by polskiemu czytelnikowi zaproponować *Pereł*, jest to, że omawiany tom opowiadań – a zwłaszcza tytułowe *Pereł* – otworzył I.J. Singerowi drogę na literackie salony.

Opowiadanie Perły powstało w Kijowie w 1919 r., ale opublikowane zostało dopiero po powrocie Singera do Warszawy w wydawanym tu, poświęconym literaturze i sztuce, żydowskim czasopiśmie „Ringem”, w 1921 r. Początkowo publikacja przeszła bez echa. Uwagę krytyki i czytelników na I.J. Singera zwróciła dopiero entuzjastyczna recenzja, zamieszczona na łamach dziennika „Forwerts”, najpoczytniejszej żydowskiej gazety w Stanach Zjednoczonych. Już sam tytuł mówił wiele: „Nowy talent literatury jidysz w Polsce”. W 1923 r. opowiadanie Perły zostało przedrukowane przez „Forwerts” w odcinkach. Abraham Cahan, twórca i redaktor naczelny „Forwerts”, w eseju poświęconym całemu zbiorowi wróżył, że I.J. Singer zajmie ważną pozycję w świecie artystycznym³. I tak się stało. Autor Perł stał się cenioną postacią w świecie literatury jidysz. Warto zwrócić uwagę, że mowa o pisarzu będącym na początku drogi twórczej. W chwili publikacji całego zbioru I.J. Singer miał 28 lat, a jedno z zamieszczonych w nim opowiadań (Glinianki) wyszło spod pióra I.J. Singera, gdy miał 22 lata. Zanim skończył 30 lat, został stałym zagranicznym współpracownikiem „Forwerts”, jego opowiadania pojawiały się w prasie, a wspomniane już Glinianki w 1924 r. trafiły do wydawanej w Warszawie serii „Biblioteka Szkolna”.

*

Polski przekład opowiadań zebranych w tomie Na obcej ziemi spotkał się z niezwykle przychylnym przyjęciem zarówno ze strony czytelników, jak i autorów recenzji. I dla jednych, i dla drugich opowiadania te były zapewne odkryciem i przyjemnym zaskoczeniem. Jako autor przekładu obu zbiorów wyrażam przekonanie, że równie pozytywnych doznań można się spodziewać, sięgając po Perły. Dla tych, którzy nie mieli sposobności zapoznania się z wcześniej opublikowanymi opowiadaniem I.J. Singera, będzie to odkrycie. Tych, którzy dla siebie odkryli I.J. Singera, czytając Na obcej ziemi, lektura Perł utwierdzi, mam nadzieję, w przekonaniu, że po prozę Izraela Joszuy Singera wciąż warto sięgać.

Krzysztof Modelski

1. Rodowód, przekł. N. Moskal, Lublin 2016; Taniec demonów, przekł. A. Pawelec, Lublin 2019.
2. Na obcej ziemi, przekł. K. Modelski, Lublin 2020.
3. Więcej na ten temat znaleźć można [w:] Ellen Kellman, Israel Jehoszua Singer w nowojorskim „Forwerts”. Początki kariery pisarskiej w Ameryce [w:] Biłgoraj, czyli raj. Rodzina Singerów i świat, którego już nie ma, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2005, s. 161–171.

PERŁY

I

- Izak! Słońce na dworze grzeje już dobrze, Izak?
- Dobrze, wujku Moryc.
- Izak! Wywieźli już z podwórza cały śnieg do Wisły?
- Wywieźli, wujku Moryc.
- Jak to słyszysz, Izak? Kaszel u mnie już zelżał?

- Zelżał, wujku Moryc.
- Izak! Przygotowałeś mi już rzeczy do przebrania?
- Już idę, wujku Moryc.

Izak chodzi po pokojach, szukając rzeczy wujka Moryca, a Moryc Szpilrejń odkrywa wacianą kołdrę i ze strachem wyciąga z wygrzanego łóżka swoje długie, chude nogi.

Do zamkniętego mieszkania Szpilrejń gwałtownie wdziera się słońce. Przez wieczne opuszczone story wkrada się kanciasty kawałek słońca i leży przy Szpilrejnie niczym leniwie wyciągający się kot. Promienie muskając meble, ciągną się językami kurzu do jasnych okien. Jakaś nagle obudzona, wielka, zielona mucha, brzęcząc, obija się o szybę. Tylko Szpilrejń nie do końca pogrąża się w jasnym dniu i słońcu; jakiś czas trzyma odkrytą nogę na brzegu łóżka, jakby się bał powierzyć ją otwartemu, świeżemu powietrzu. Wie, że jest człowiekiem ciężko chorym, człowiekiem bez płuc. Takim ludziom wiele nie trzeba: niewielki wiaterek lub wilgotny powiew to już igranie ze śmiercią. Dlatego trzyma się tego, żeby całą zimę leżeć w łóżku, sześć miesięcy w łóżku. I teraz boi się postawić nogę, zupełnie jak dziecko, które ma zrobić pierwszy krok. Najpierw zsuwa jedną nogę i przez chwilę trzyma ją na miękkim dywaniku, żeby przyzwyczała się być na powietrzu. Potem opuszcza drugą nogę. Jego wychudła, zarośnięta twarz rozpromienia się, jakby dokonał jakiegoś odważnego czynu. Mruczy sam do siebie, pokaszując tak, że nie wiadomo, czy to śmiech, czy sapanie:

- He, he, hi, hi, capnęli zimę... Eh, heh, heh, minęła jak ręką odjął...

W mieszkaniu Szpilrejńa jest cicho jak zawsze. Wszędzie leży nieruszana od dawna, gruba warstwa kurzu, który spokojnie drzemie, wiedząc, że nigdy go nie zetrą. Tlustobrzuche pająki spokojnie śpią w gęsto utkanej pajęczynie i śnią o miękkich mięsnych muchach. Jeden tylko Izak, służący, łązi na czworakach po sąsiednich pokojach, szukając butów i kaloszy wuja Moryca. Już od sześciu miesięcy wuj Moryc ich nie wkładał, już sześć miesięcy leżą gdzieś zbędne i zapomniane, potrzebne jak ubrania nieboszczykowi. Izak kręci swą wielką głową głupka, wczołguje się pod zakurzone kanapy i zagląda pod szafy. Szpilrejń siedzi na brzegu łóżka, wsłuchując się odstającymi uszami w odgłos szurania ciężkich nóg Izaka. Zamyśloną twarz Szpilrejńa pokrywają głębokie zmarszczki, jak u człowieka, który chciałby coś powiedzieć, ale jeszcze się waha: powiedzieć czy nie?

Każdego roku, jak sięgnie pamięcią, jest to samo. Każdego roku ten głupek zapomina, gdzie na początku zimy wrzucił buty. Szpilrejń powoli wyjmuje zza pazuchy kościaną tabakierkę, stuka nią kilka razy w zagłówek łóżka i woła zduszonym, słabym głosem:

- No już, głupku, chodź tu! No już, próżniaku, do mnie!

Pojawia się Izak, wybrudzony kurzem, oplątany pajęczynami i z oddali patrzy na wuja okrągłymi, zimnymi jak u ryby oczyma. Nigdy, przenigdy nie zdarzyło się, żeby wuj Moryc go choć tknął, a mimo to miał wrażenie, że wuj chce go przyciągnąć bliżej siebie, do łóżka, i dać mu lanie. Na wszelki wypadek stoi więc oddalony o parę kroków, jak uparty chłopak przyzwyczajony do tego, że jest bity.

Szpilrejńa zawsze irytowało takie zachowanie Izaka, ten jego strach, podczas gdy on chce tylko, żeby chłopak podszedł bliżej ku niemu, do łóżka, i go wysłuchał. Przez chwilę toczy się między nimi niema gra. Szpilrejń wpatruje się w niego przymrużonymi, przenikliwymi oczami i przywołuje, kiwając wyciągniętym palcem, a Izak wycofuje się dyskretnymi, niezauważalnymi kroczkami. Trwa to dłuższą chwilę i nie doprowadza do żadnego rezultatu, aż Szpilrejń ze wzburzenia zaczyna kaszleć i obiema rękami chwyta gumową flaszkę na plwociny. A Izak stoi jak skamieniały.

Wie, że wuj Moryc flaszkę na plwociny ma zawsze przy sobie – jest uwiązana na długim sznurku przerzuconym przez kościste ramię. Jest niska i pękata, ma wąską szyjkę zatykaną czerwonym gumowym korkiem. Za każdym razem, gdy wuj Moryc mocno się zdenerwuje i zaczyna go dusić kaszel, momentalnie chwyta butelkę i otwiera ją drżącymi rękoma. Powoli spluwa wprost w szyjkę, po czym długo jednym okiem patrzy do środka, zanim ją zamknie, wciskając korek zeszywniałymi palcami.

Izak wytrzeszcza swoje jeszcze zimniejsze rybnie oczy na to, co robi milczący wuj Moryc, i wymyka się z pokoju, zanim wuj Moryc obetrze posiniałe wargi. Zaszywa się w najdalszym z sześciu wielkich, pustych pokojów, ukryty w głębokim, niskim fotelu, i jakiś czas nie daje nawet znaku życia, prawie nie oddycha, tak że wuj Moryc zaczyna się niepokoić i łapie długimi odstającymi uszami każdy dobiegający z oddali szmer.

Szpilrejn zezłościł się nie na żarty. Mimo że całe sześć miesięcy przeleżał w łóżku, to i tak wie, co dzieje się w każdym jego pokoju, w każdym kącie. Gdyby tylko czuł się nieco zdrowszy, złapałby go, tego głupka, za uszy i zaciągnął do czwartego pokoju, i kazał zajrzeć pod komodę.

– No już, zobacz, o tu... buty... tu leżą. No już, patrz... leżą, głupku.

Ale teraz akurat nie może wstać z łóżka, bo nie ma butów. Poza tym chłopak całkiem przepadł. Szpilrejn nie może się zdecydować: czy odpuścić chłopakowi, postukać tabakierką i przeprosić się z nim, czy też lepiej udawać, że nic nie zauważył?

Szpilrejn jest niespokojny. Niepokój ogarnia go zawsze, gdy Izak zaszywa się w ostatnim pokoju i nie daje znaku życia. Przede wszystkim wie, że Izak dziwnie reaguje: zawsze, gdy go zwyzywa albo na niego nakrzyczy, chłopaka ogarnia taki strach, że ucieka do innego pokoju i dostaje ataku padaczki. Wtedy Szpilrejn, który ma nogi obłożone gumowymi termoforami, musi wygrzebać się z ciepłego łóżka i jakiś czas stać pochylony nad chorym, trzymając klucz w ręku i, do czasu aż Izak się ocknie. Szpilrejn nie znosi tego. Nie może patrzeć, jak chłopak tłucze nogami o ziemię. Na dodatek słabną mu ręce od trzymania klucza, a potem długo trwa, zanim się rozgrzeje. Ale nie przeraża go to. Wie, że po ataku chłopak niewiele pamięta z tego, co z nim się działo. Nie pamięta nawet, że złuszczono się na niego. A po wszystkim Szpilrejn wyciąga spod poduszki ciepłego złociszka i daje go chłopakowi na pieczone jabłka, podsuwając przy tym owłosioną rękę do pocałowania; czuje wtedy, jak chłopak wilgotnymi ustami całuje tę owłosioną rękę, powtarzając kilka razy:

– Bardzo dziękuję, wujku Morycu.

Szpilrejna przede wszystkim przeraża coś innego. W mieszkaniu jest sześć dużych, pustych pokojów, a w ostatnim z nich są drzwi obite z zewnątrz żółtą skórą, od środka zaś okute czarnym żelazem i wzmocnione mosiężnymi nitami. Drzwi są ciężkie, masywne, zabezpieczone angielskimi zamkami i zasuwami. Szpilrejnowi co rusz wydaje się jednak, że ktoś się dobiera do nich i za każdym razem posyła tam Izaka, żeby sprawdził. Teraz Izak długo się nie odzywa. Szpilrejn nie ma pewności – może chłopak koniec końców obraził się i zostawił go samego jednego razem z tymi sześcioma wielkimi, pustymi pokojami? Poczul się tak samotny i opuszczony jak dziecko, które porzuciła matka.

Przez chwilę siedzi w milczeniu. Ma teraz, zanim po raz pierwszy wyjdzie na ulicę, mnóstwo rzeczy do zrobienia. Po pierwsze musi sobie uszykować nowe kawałki waty do zatkania uszu. Po drugie musi obłożyć czymś miękkim okulary w tych miejscach, gdzie go uwierają – na nosie i za uszami. Po trzecie musi też rzucić okiem na swój towar. Pod wełnianym podkoszulkiem, którego nigdy nie zdejmuje, grzeją się od jego gołego, chudego ciała małe, lśniące skarby zawinięte w białe bibułki. To surowe, nieoszlifowane kamienie zmieszane

z ziemią. Zawsze, gdy Szpilrejn drżącymi palcami wyjmuje je z ukrycia, robi się jasno w ciemnym, pełnym kurzu pokoju i zaczyna pachnieć Amsterdamem, Antwerpią i jasnym morskim wybrzeżem. Dziś pierwszy raz od sześciu miesięcy Szpilrejn idzie na giełdę jubilerską. Tam czekają już na niego kupcy – eksperci z lupami jubilerskimi w oku – wypatrując jakiegoś rarytasu, wyjątkowego kamienia. Poza tym Szpilrejn ma jeszcze kilka długich sznurów delikatnych jak łyzy dziecka pereł. Całą zimę miał je kilka razy zawinięte wokół chudej, pomarszczonej szyi. Mogłoby się zdarzyć, że zapięcia sznurów poluzowałyby się i perły rozsypały na środku ulicy, więc Szpilrejn sprawdza wszystko, przebierając sinymi, zeszywniałymi palcami świetliste, słoneczne skarby.

Pracę tę wykonuje z namaszczeniem, powoli i ostrożnie, pozostając na razie nieubrany. Wyciąga do przodu długie, chude nogi obciążone sięgającymi ud białymi wełnianymi pończochami. Opadający brzuch ściąga mu pas przepuklinowy, tors otula mu szorstki wełniany podkoszulek, na głowie ma czerwoną włóczkową myckę; w jego lewym oku tkwi czarna lupa, taka jakiej używają złotnicy i zegarmistrzowie.

Posprawdzał już zapięcia i upewnił się, że wszystkie dobrze trzymają. Pasuje też wata do uszu, a nawet okulary wygodnie spoczywają na nosie, niczego nie uciskając. Tylko Izak wciąż nie daje żadnego znaku życia. Szpilrejn zaczyna stukać kościaną tabakierką w łóżko. Stuka i wsłuchuje się we wszystkie odgłosy dobiegające z każdego z jego sześciu wielkich, pustych pokoi, ale Izak wciąż się nie pokazuje. Szpilrejn zaczyna więc krzyczeć dyszącym, głuchym głosem, dziesiątki razy powtarzającym przez przeraźliwe echo:

– Izaaak, już starczy, Izaaak! Izak, gdzie jesteś, Izaaak?!

Dopiero wtedy Izak wyłazi ze swojej kryjówki i przez pokoje ciągnie ciężkie nogi do łóżka wuja Moryca. Szpilrejn chwyta drżącą dłonią poduszkę i szuka srebrnej monety. Podaje Izakowi owłosioną, żylastą rękę do pocałowania. Przytrzymuje go dłuższą chwilę przy łóżku, patrzy mu prosto w oczy i mówi łagodnym tonem:

– No, kup sobie coś, Izak... Tylko nigdzie się nie zatrzymuj. Rozumiesz, Izak?

Izak całuje owłosioną rękę wilgotnymi ustami i kiwa głową: przy nikim nie będzie się zatrzymywał.

Ma pulchną, rumianą twarz, która przypomina zimowe, przemarznięte jabłko, delikatną i miękką, zupełnie bez śladu brody i wąsów, jak u eunucha. Za każdym razem, gdy przechodzi przez podwórze wuja Moryca, z piwnic wychodzą pracujące tu dziewczyny, pończosznice i papierosnice, ostrymi palcami łaskoczą go pod pachami i krzyczą do ucha:

– Izaczku! Weźmiesz mnie za żonę, Izaczku?

Szpilrejn leży w tym czasie u siebie w łóżku i w napięciu łapie swymi ostro zakończonymi uszami każdy dźwięk dochodzący z podwórza. Jego podwórze jest duże, okolone pięciopiętrową kamienicą z wieloma pomieszczeniami w suterenie, w których są wytwornie papierosów i pończoch. Zawsze drżą tam brudne szyby w zakratowanych oknach. Czerwonawe elektryczne światło pali się nawet za dnia, a przechodniów widzi się stamtąd tylko do kolan, więc rozpoznać kogoś można po tym, jakie ma buty. Piwnic jest wiele, ciągną się wokół całego wielkiego podwórza, a od maszyn drżą tak, jakby posadowiono je na terenie, gdzie są trzęsienia ziemi. Mieszkanie Szpilrejna mieści się naprzeciw tych piwnic. Jest długie, ciągnie się przez całe drugie piętro i swymi stale zamkniętymi oknami patrzy na szerokie podwórze.

Na podwórzu Szpilrejna wciąż wrze. Przez hałas kół zębatych i wałów przebijają się zachrypnięte dziewczęce głosy, które gdzieś przepadają, nie dając nawet echa. Często

przychodzą tu sztukmistrze, na brudnej ziemi rozkładają sfatygowany dywan i uderzają metalowymi talerzami. Tylko okna u Szpilrejna nigdy się nie otwierają. Nigdy w nich nie odsuwa się zasłonka, nigdy nie widać w nich żadnych oczu. Story są zawsze tajemniczo opuszczone, szyby pokryte kurzem; wysokie, wąskie okna są niemal przyciśnięte do siebie, jakby się bały obcych oczu i tuliły się do siebie, by poczuć się pewniej. W trzęsących się piwnicach często rozmawia się o widocznych naprzeciwko zakurzonych oknach, a rozprawia się o tym, co kto powiedział:

– Ludzie mówią, że jest już dziesięć lat, od kiedy w tych pokojach nikt nie sprzątał...

– Ludzie mówią, że nikogo tam nie wpuszczają...

– Ludzie mówią, że wszystko to zapisał Izakowi...

Sam Izak nie bardzo wierzy w to, co się mówi na podwórzu. Wuj Moryc nigdy o tym nie wspominał. A że wuj Moryc nie pozwala mu przystawać przy kimś, szybko wyciąga swoje ciężkie nogi, świecąc głupawymi czerwonymi policzkami. Śpieszy się, ale jakby na przekór temu ludzie z piwnic rozpoznają jego truchcik i wtedy dziewczyny porzucają podciąganie oczek w pończochach, szybko wybiegają z piwnic, otaczają go ścisłym kołem, łaskoczą pod pachami i piszczącymi, histerycznymi głosami krzyczą mu wprost do ucha:

– Chcesz mnie za żonę, Izaczku?! Izaczku!

Szpilrejn, leżąc u siebie w łóżku, przysłuchuje się tym piskliwym głosom i gdzieś w głębi serca czuje dziwny, poruszający niepokój.

Rzadko wypuszcza Izaka na podwórze, właściwie tylko wtedy, kiedy trzeba go posłać do garkuchni po jedzenie, albo wtedy, kiedy na przeprosiny daje mu na pieczone jabłko. Wie, że Izak nie zadaje się z tymi rozpuszczonymi dziewczynami, stroni od nich, niemniej za każdym razem gdy wraca, ma wypieki, jest podniecony i podenerwowany. Błyszczą mu zimne, rybnie oczy, ma wilgotne, nabrzmiałe usta. Szpilrejn przywołuje go do siebie, do łóżka, dłuższą chwilę trzyma drżącymi rękami i ciemnym, niemym wzrokiem badawczo patrzy prosto w oczy. Nie jest do końca pewien, czy któraś z dziewczyn nie omota w końcu chłopaka i nie namówi do czegoś złego, nie zbuntuje przeciwko niemu. Wczepia się zeszywniałymi palcami w pulchną rękę Izaka. Syci się wbitym w niego ponurym, smutnym wzrokiem, po czym odtrąca go od siebie tak gwałtownie, że Izak chwieje się na swych ciężkich nogach...

Izak nie wie, czego chce od niego wuj Moryc. Na dodatek jest podniecony łaskotaniem pod pachami przez dziewczyny. Czuje się zmęczony i śpiący, więc kładzie się na sofce stojącej przy ścianie naprzeciw łóżka wuja. Szpilrejn siedzi cicho, szeroko otwartymi oczami rozgląda się wokół i nastawia uszu, wylapując każdy dźwięk. Nie lubi, gdy Izak śpi. Wolałby widzieć go zawsze krzątającego się, zawsze słyszeć jego głos, czuć, że nie jest sam. Ale śpioch Izak, jakby na przekór temu, wciąż chce drzemać albo spać, nawet w środku dnia. A Szpilrejn leży wtedy godzinami, leży czujnie, powstrzymuje nawet kaszel, gdyż mogłoby wtedy umknąć mu coś, co dzieje się wokół niego.

Za dnia jest jako tako znośnie. Szpilrejn nie pozwala, żeby Izak dużo spał. Bez przerwy stuka tabakierką w łóżko i strofuje go:

– Izak! Dość spania, Izak! Chodź tu, Izak, i poczytaj mi Lessinga2.

Izak wyciąga wtedy rozsypujący się egzemplarz Natana mędrca, siada przy łóżku wuja i zachrypniętym, cienkim głosikiem czyta strona po stronie. Jest to jedyna książka, jaka znajduje się w mieszkaniu, więc wuj Moryc umie ją prawie na pamięć. Zna każdą wymianę zdań między mądrym Natanem a przebrany derwiszem, i mimo to z wielką uwagą

wysłuchuje się w każde słowo Izaka. Rozjaśnia mu się twarz przy każdej rozumnej ripocie, którą Natan daje temu, który uratował jego piękną Rechę – przez chwilę zanosi się nawet kaszlem z zadowolenia, pokazuje Izakowi palcem, aby przerwał, i każe mu ponownie czytać ten sam dialog:

– Jeszcze raz, Izak, od początku. Z powrotem, Izak, wróć!

Ale tak jest za dnia. Gdy przychodzi noc, Izak zapada w tak głęboki sen, że nie ma sposobu, by go obudzić. Szpilrejn patrzy na wiszący naprzeciw okrągły zegar i nie spuszcza wzroku ze wskazówek, tak jakby chciał sprawdzić, czy one w ogóle przesuwają się na cyferblacie, czy nie. W mieszkaniu panuje cisza, żaluzje są opuszczone, lampa rzuca nieco światła tylko na łóżko, a wszystko za nią spowite jest w ciemnościach. Szpilrejn wyciąga długą, chudą szyję spod ciepłej kołdry i rzuca ponure spojrzenie w kierunku na wpół uchylonych, zacienionych drzwi. Za nimi ciągnie się wiele pustych, ciemnych pokojów. Są opuszczone, zamknięte, oddzielone jeden od drugiego i rzadko ktoś je otwiera. Tylko czasem, raz w tygodniu, w piątek wieczorem przychodzi Dajches – administrator domu Szpilrejna – i przynosi ciężki lniany woreczek. A Dajches przychodzi tu po to, żeby Szpilrejnowi oddać czynsz, który zebrał od kilku setek mieszkańców. Zawsze idzie na palcach, jak ktoś, kto nie jest pewien, po jakim gruncie stąpa. Chodzi pochylony z głową opuszczoną ku ziemi i nie odzywa się słowem, jakby się bał, że komukolwiek będzie to przeszkadzało.

Szpilrejn zna naturę Dajchesa, wie, że nie cierpi gadania na próżno, więc sam też milczy. Dajches w milczeniu podchodzi do stolika przy łóżku gospodarza, odstawia dwie grube świece, siada obok na niskim stołku i rozwiązuje lniany woreczek, po czym obaj dłuuuugo liczą. Dajches rozkłada pieniądze na kupki: złote do złotych, srebrne do srebrnych, papierowe do papierowych. Szpilrejn leży na boku, zeszywniałymi palcami trzyma lśniąca nożyczki, którymi wycina równe kawałki papieru, pakuje w nie ułożone złote monety i zapisuje krzywe, rozhuśtane cyfry. Dajches i Szpilrejn siedzą przy tym całe godziny. Są skupieni, od ich odkrytych łysych czaszek odbija się blask złota i świec. Nie odzywają się słowem, jakby odprawiali jakieś święte, tajemnicze obrzędy.

Ale tak jest jedynie kilka godzin w tygodniu. Gdy tylko Dajches wychodzi, Szpilrejn okłada nogi gumowymi termoforami, wygrzebuje się z pościeli, zamyka paczuszki w żelaznej kasecie i zawiesza kluczyk na szyi. A potem wracają długie nocne godziny, puste i wlekące się jak cała wieczność. Na podwórzu jest cicho. W nocy brama jest zamknięta na głucho, ale już sama cisza w każdym kącie szepcze dziwnymi, niezrozumiałymi odgłosami. Z grubych ścian wydobywa się dźwięk, jakby były puste i coś się w nich przesypywało. Zewsząd słyhać skrobanie, jakby między tapetami a ścianą coś drapało pazurami. Szpilrejn zeszywniałymi palcami maca zwiotczałą pierś i szyję, ale kości wystają mu tak, że pomiędzy nimi giną maleńkie, drobne perełki. Odwraca głowę w stronę Izaka. Długie, grube cienie są jak jakieś stworzenia, które stanęły przy sofce i wszystko zasłaniają. Szpilrejn bierze kościaną tabakierkę i stuka nią w poręcz łóżka. Stuka miarowo, ostrożnie, ale każdemu uderzeniu towarzyszy dziwne, urywane echo w pustych pokojach. Przestraszone myszy zwinnie uciekają do swoich dziur. Tłustobrzuche, wypasione pająki wciskają się do kątów. Przestraszony własnym pukaniem Szpilrejn wygrzebuje się z łóżka i na kołyszących się nogach człapie przez wielki, ciemny pokój. Idzie na palcach, co rusz obija się o coś i dochodzi do sofki Izaka. Chce go zobaczyć, spojrzeć tylko na jego twarz i wrócić do łóżka, ale Izak tak się wtulił w kołdrę, tak się skulił, że go wcale nie widać. Szpilrejn sztywnymi palcami szarpie kołdrę, wczepia się w okrągłe ramiona Izaka i budzi go głuchym, wilgotnym głosem:

– Izak! Jesteś tu? Izak? Izak! Wyciągnij głowę, Izak!

II

- Ooo! Dzień dobry, panie Szpilrejn!
- Dzień dobry, witam szanownych panów.
- Wszystkiego dobrego dla pana!
- Dziękuję bardzo, kochanieńki, dziękuję bardzo.
- Zima, zima i po zimie, panie gospodarzu.
- Tak, tak, odeszła, złociutki, jak ręką odjął.

Szpilrejn stoi na wielkim podwórzu. Kłania się na prawo i lewo, przykłada kościste palce do zielonkawej napoleońskiej czapki, pozdrawiając swoich lokatorów.

Kłaniają mu się ze wszystkich stron.

Na podwórzu Szpilrejn pojawia się zawsze w czasie, kiedy już pachnie wiosną, radosnym oczekiwaniem na Pesach i zaręczynowe przyjęcia w Chol ha-Moed. Jest jeszcze ubrany po zimowemu. Ma na sobie zapiętą od góry do dołu długą watowaną kapotę, obszytą na brzegach i rękawach lisim futrem. Chude nogi latają mu w za luźnych wysokich butach, wykończonych białym barankiem. Szyję ma owiniętą, aż po same uszy, włochatym szalem. Mimo to wszyscy witają go jako zwiastuna lata. Podwórze otoczone jest wysokimi, pięciopiętrowymi budynkami. Przylatujące na lato ptaki pojawiają się tu z rzadka, więc wszyscy witają Szpilrejna jak na wsi wita się pierwszego bociana, który usiadł na strzesze.

Na czworokątnym kamiennym podwórzu jest gwaro. Kręcą się tu ubrudzeni wapnem murarze, którzy krzyczą zdartymi, donośnymi głosami w stronę niewidocznych stąd pomieszczeń na strychach i przepadają razem z cichnącym echem. Chudzi galicyjscy goje w przeluszczonych ubraniach leniwie snują się, omijając kamienie. Na ramionach niosą patelnie i rondle przeznaczone na Pesach i wykrzykują, melancholijnie zawodząc po góralsku:

– Rondle! Rondelki!

Przez kurz i grube kamienne mury przedarło się nawet trochę słońca, które dotarło do czarnego, wysmołowanego śmietnika, oświetliło sforę pokrytych parchami psów i kotów oraz tańczących w kółku dzieci.

Szpilrejn stoi na środku podwórza, przymrużonymi oczami patrzy na otoczenie i krztusi się od pokasływania, o którym trudno powiedzieć, czy to śmiech czy zadyszka.

Ma teraz zadanie: powinien pokazać swoim sąsiadom z podwórza, że choć widuje ich rzadko i całe sześć miesięcy przeleżał w łóżku, to pamięta ich wszystkich, każdego z osobna. Stoi otoczony wianuszkiem mężczyzn, kobiet i dzieci, szparkami oczu spogląda każdemu po kolei w twarz i zadowolony odgaduje:

- He, he, he! Grinworcl, kieszonkowiec z czwartego piętra. Zgadza się, kochani?!
- Zgadza się, proszę pana! – odpowiadają chórem i czekają, aż zadowolony Szpilrejn się wykaszle.
- A pani, szanowna pani, jest wdową po czapniku Gluskerze. Prawda, moja droga?
- Prawda, panie Szpilrejn.

Kółko otaczających go powiększa się. Dzieci zwinnie zjeżdżają pięć pięter po kręconych poręczach i już na dole wspinają się na palce, żeby choć spojrzeć na Szpilrejna i Izaka.

Izak stoi jak zawsze – nadęty i czerwony. W ręku trzyma plecioną słomianą wycieraczkę, gotów, na wypadek gdyby ziemia była mokra, rozłożyć ją pod stopami wuja Moryca. W drugiej ręce ma włóczkową torbę pełną ciasteczek i buteleczek z mlekiem, na wypadek gdyby wujowi Morycowi odmówiło posłuszeństwa serce i zasłabłoby. Szpilrejń pochyła się też ku dzieciom. Sztywnymi palcami szczypliwie pulchne dziecięce policzki i dysząc z zadowolenia, mówi:

– He, he, he, to ty tak dobrze skrobiesz tynk na ścianach, nicponiu!

Dzieci z ledwością powstrzymują się, by nie parsknąć śmiechem. Bardzo podobają im się powiedzonka Szpilrejńna, takie jak „nicpoń”, ale krztuszą się, by się nie śmiać.

Na dworze jest przyjemnie. Świeci słońce, sterty brudnego śniegu wywieziono. Nawet stróż Józef, który wiecznie przegania dzieci miotłą, teraz stanął gdzieś z boku. Jedną rękę opiera na miotle, a w palcach drugiej trzyma tabakę, którą uraczył go gospodarz. Ostrożnie, by nie przesadzić, wciąga tabakę do dziurek mięsistego nosa. Wśród otaczających Szpilrejńna jest nawet administrator domu Dajches, ten który nigdy nie mówi nawet słowa, nie licząc domagania się czynszu. Teraz stoi, patrzy na usta Szpilrejńna i za każdym razem, gdy gospodarz zapomni imienia któregoś z mieszkańców, podpowiada mu jak nauczyciel podczas odpytywania:

– Lenczner spod dziewięćdziesiątego, skrzyniarz.

– Beder z prawej oficyny, waluciarz.

Na podwórzu Szpilrejńna robi się tak miło i domowo, że ludzie zapominają, kto jest tu właścicielem, a kto lokatorem. Wielkie, ciepłe podwórze staje się wspólnotą, jednością; wszyscy ściśnięci w kółku są jak jeden mąż, jak jakieś jedno zadowolone stworzenie. I wtedy właśnie wdarło się w kółko zebranych coś gwałtownego, dyszącego, wionącego wokół gorącym, urywanym oddechem. Rozległ się przeraźliwy pisk. Kółko rozsypało się na wszystkie strony niczym stado kur, gdy ktoś rzuci w nie kamykiem.

– Złapała go Kejla – rozległ się pomruk w rozsyanym kółku, które teraz przytuliło się do murów, widząc, co się stało.

– Wdowa Kejla go złapała!

Sprawa Kejli to stare dzieje. Od czasu kiedy jej mąż, blacharz, spadł z dachu Szpilrejńna i zostawił ją samą, wdowę z sierotami, Kejla procesuje się z Dajchesem i już parę lat nie płaci mu czynszu. Dajches utrzymuje, że od dawna jest z nią rozliczony, że pospłacał co do grosza to, co nakazał sąd. Co miesiąc, nic nie mówiąc, sprowadza do niej policję, każe wynieść na wielkie podwórze rozwalające się łóżka i zatęchłe sienniki, po czym na drzwiach do jej mieszkania w suterenie wiesza wielką przerdzewiałą kłódkę. Ale dobrze się nawet nie obejrzy, a już nie ma śladu po kłódce i ona znów jest w swoim mieszkaniu. Ostatnio przyjął wobec niej nową taktykę. Kazał wystawić u niej drzwi i okna, zakręcić kran z wodą i milcząc, na paluszkach wyszedł na podwórze.

Na podwórzu dziwiono się.

– Na takie coś – mówiono – wpaść mógł tylko Dajches.

Ale i wdowa Kejla przyjęła nową taktykę. Każdego ranka, gdy Bóg zsyła dzień, staje ze wszystkimi dziećmi przy zamkniętych, obitych żółtą skórą drzwiach Szpilrejńna, każe im walić pięściami, a sama wykrzykuje w kółko to samo:

– Otwierać, zbóje! Otwierać, mordercy!

Na podwórzu śmiano się z niej.

– Nikogo tam nigdy jeszcze nie wpuszczono – tłumaczono jej. – Nikogo.

Ona jednak mimo to codziennie prowadziła gromadkę swoich dzieci pod drzwi mieszkania Szpilrejna. Ostatnio straciła już nawet nadzieję, że dobije się do niego. Na jej pukanie nie było żadnego odzewu, zupełnie jakby pukała do grobu. Postanowiła wobec tego mieszkać bez drzwi i okien. Teraz go złapała, złapała w biały dzień i to na podwórzu, więc mu nie odpuści. Jedną ręką silnie trzyma go za futrzane wyłogi kapoty, a drugą pokazuje mu na suterenie w rogu podwórza z pustymi dziurami, otworami okiennymi podobnymi do dwóch pustych oczodołów. Krzyczy przy tym zdecydowanym, silnym głosem niczym sędzia:

– Proszę ze mną do mojego „grobowca”! Do „grobowca”! Proszę!

Początkowo Szpilrejn jest przestraszony. Czuje, że wpadł w ręce tej Żydówki. Stoi na chwiejących się nogach, ponurym wzrokiem rozgląda się bezradnie po swoim wielkim podwórzu, zupełnie jakby szukał ratunku, i mruży bełkotliwie:

– Do niego, kochana, do Dajchesa... Puść mnie, serdeńko, nic mi do tego...

A gdy kobieta ciągnie go i chce gwałtem doprowadzić do swojego „grobowca”, Szpilrejn dostaje ataku kaszlu i łapie oburącz dyndającą flaszkę na płwociny.

Przez chwilę na podwórzu panuje cisza. Nikt nie rusza się z miejsca, ani stojący przy ścianach lokatorzy, ani dzieci, ani nawet stróż Józef i Dajchman, wszyscy zamarli z otwartymi ustami. Patrzą, jak Szpilrejn otwiera flaszkę i spluwa do niej, powoli i dokładnie w szyjkę. Patrzą, jak jednym okiem przez chwilę zagląda do środka, jak ją zatyka korkiem i sprawdza, czy jest dobrze zamknięta. Wszyscy stoją nieruchomo i z uwagą obserwują każdy ruch Szpilrejna, wstrzymując oddech, jakby bali się przeszkadzać mu w tym zajęciu. Dopiero gdy Szpilrejn obciera wargi i szeroko otwiera bezzębne usta, podwórze budzi się z odrętwienia i zaczyna rozumieć, co właściwie się stało. Dajches na paluszkach biegnie sprowadzić dorożkę, a stróż Józef wdaje się w szarpaninę z Kejlą. Szpilrejn z Izakiem wciąż stoją, bladzi i drżący, i ze strachem patrzą, jak Józef przytrzymuje Kejlę, łapiąc ją w pasie, a ona wczepia się oboma rękoma w jego długie, zwisające wąsy. Atmosfera staje się coraz bardziej napięta, lokatorzy domu stoją przytuleni do ścian. Dopiero gdy na podwórze przyjeżdża dorożka, a Izak podkłada wujowi Morycowi pod nogi słomianą wycieraczkę, pończosznice uświadamiają sobie, że zaszło coś komicznego. Nagle dotarło do nich, że jest tu Izak i że zaraz zniknie im z oczu. Tulą się do ściany, żeby być jak najmniej widoczne, i piskliwymi, histerycznymi głosami wołają:

– Izaczku, chcesz mnie za żonę? Izaczku!

Szpilrejn jeszcze bardziej opatula się wełnianym szalem, nie chcąc słuchać tego piskliwego krzyku, i każe dorożkarzowi postawić skórzaną budę.

Na ulicy jest przyjemnie, ciepło. Słońce rozświetla całe niebo, kładzie się pod nogi przechodniów, pod końskie podkowy, cieszy się zarówno złotymi kopułami, jak i stojącymi jeszcze błotnistymi kałużami. Ulicami przemykają, niemal unoszą się, lekcy, świeży ludzie z błyskiem dawnej młodości w oczach. Tylko Szpilrejn wtula się coraz głębiej w szal, tak że na świat boży wystaje mu jedynie czubek nosa, a on bez przerwy końcem palca szturcha w niebieskie plecy dorożkarza, poganiając:

– Szybciej, kochany, szybciej!

Ulice są pełne. Na chodnikach panuje tłok. Przechodnie zastępują koniom drogę. Szpilrejn niecierpliwie wierci się na swoim miejscu, ponuro rozgląda się wokół, bolesne myśli drążą go aż po samo serce.

Myśli o tym, jak to świat pełen samych zdrowych, silnych ludzi uwziął się na niego, na ciężko chorego człowieka bez płuc. Nawet drogę mu zastępują.

*

Jakieś dobre pół godziny później Szpilrejn siedzi w kawiarnianym ogródku giełdy i znów czuje się dobrze, jest spokojny.

Na giełdzie przyjęto go owacją. Siedzący przy stolikach kupcy podnieśli się i wyciągali ręce na powitanie.

– Kogóż to widzimy?! Pan Szpilrejn.

– Witamy, panie Szpilrejn!

Szpilrejn, zadowolony, siedzi przy marmurowym stoliku. Obie nogi trzyma na podłożonej słomiance i każda jego głęboka zmarszczka promienieje.

Jest mu dobrze – właściciel kawiarni kazał zagrzać butelkę mleka, które Szpilrejn przyniósł ze sobą, a teraz popija łyk po łyku. Pod stopami ma sucho. Kilka razy sprawdził ziemię końcem laski i nie znalazł wilgoci. Do tego grzeje słońce, nawet śladu chmury, a siedzący wokół kupcy zgasili cygara, nie dopalając ich do końca, i rozganiają chusteczkami dym. Szpilrejn głęboko oddycha pełną piersią i w kilku słowach wyraża swe zadowolenie: